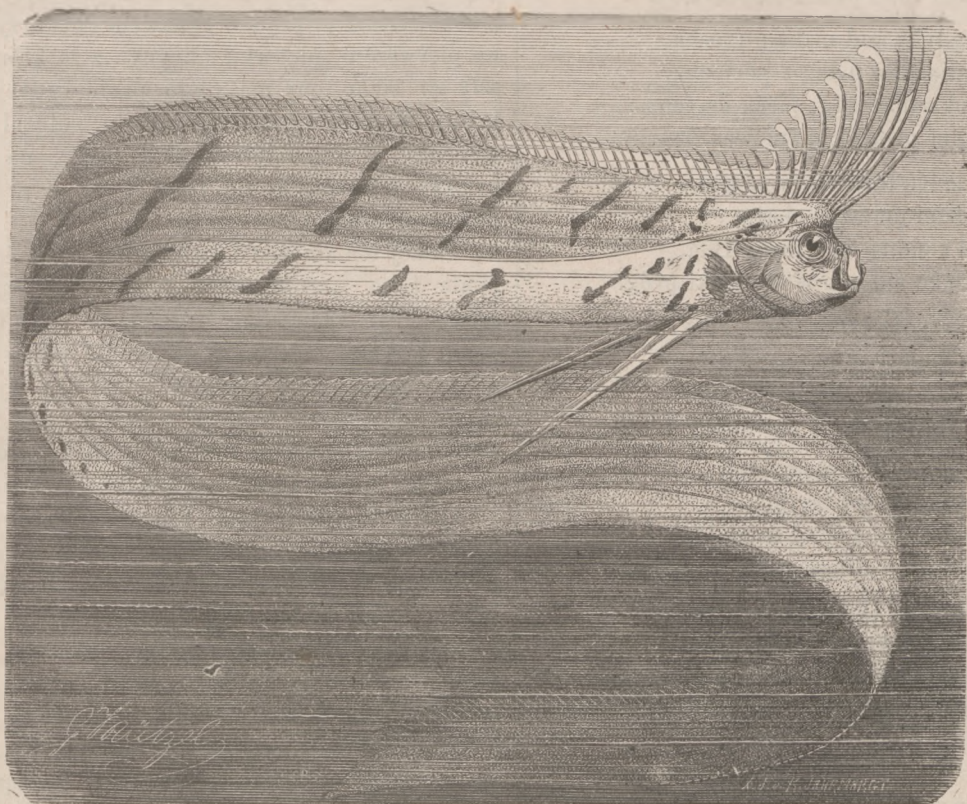


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Król śledziowy.

KRÓL ŚLEDZIOWY.

Osobliwsza ta ryba podobna jest do jakiś długi, płaskiej taśmy. Należy do rzędu cierniopłetwych, naukowa jej nazwa jest *Regalecus Banksii*. od *rex halecorum*, król śledziowy. Ryby te mało są znane, gdyż przebywają w wielkich głębinach morskich i rzadko kiedy wypływają na powierzchnię wody. Król śledziowy po raz pierwszy widziany był u brzegów norweskich w okolicy Bergen w r. 1776. Nazwę swą otrzymał z tego powodu, iż pojawił się jednocześnie z ogromną ławą śledzi. Łowiono go później kilka razy na wybrzeżach skandynawskich i angielskich, zawsze jednak król śledziowy jest wielką osobliwością

i przyrodnicy bardzo niewiele dotąd wiedzą o jego obyczajach i sposobie życia. Postać ma bardzo okazałą, dochodzi czasem ośmnastu stóp długości, głowę małą, zdobną w kolczastą koronę, jak na króla przystało, pyszczek uzbrojony w ostre ząbki, cały zaś, od głowy do ogona, pokryty jest srebrno-lśniącą łuską, ciemniejszymi pręgami i plamkami upstrzoną. Płetwy grzbietowe tej ryby, tworzące ów wspaniały wachlarz na głowie, zarówno jak długie kolce brzuszne, są tak kruche i łamliwe, jak szkło. Rzadko też widzieć można te ozdoby nienaruszone. Żaden gabinet zoologiczny nie posiada całkowitego króla śledzi. Jest jednak inna ryba, zupełnie odmiennego kształtu, *Zeus faber*, którą także nazywają królem śledziowym.

JASKÓŁKA W WODZIE,

przez Sewerynę Duchińską.

Długoż-li jeszcze martwa i skrzepła,
Bez słonecznego blasku, ni ciepła,
Mam odpoczywać w bezwładnym śnie,
Na zwirowatém jeziora dnie?

O, kiedyż słonko błysnie promieniem,
I wiatr wiosenném powionie tchnieniem;
Kiedyż rozprysnie w szkło ścięty lód,
Co więzi łono przezroczych wód?

O gdybyż, gdyby pod niską strzechą,
Spokojne gniazdko usłać z pociechą,
Z mroku do świtu, pieśń ile tchu
Biednym pisklętom śpiewać do snu.

A za gościnność ludziom w zapłatę,
Pieśnią nadziei ucieścić chatę:
Ze im zieloną da wiosnę Bóg,
Ze słonko spłynie w ich nizki próg.

O, gdyby skrzydła otrząsnąć z rosy,
Lot ponieść śmiały w jasne niebiosy,
I zasłyszana z anielskich snów,
Pieśń sennęj ziemi powtórzyć znów.

Ależ, mój Boże! bez końca zima,
W uwięzi łono jeziora trzyma,
I pióra drobne ściął ostry lód,
A pierś zbyt długi owionął chłód.

Może nim błysną słońcem niebiosą,
Oczy do reszty wypije rosa;
Może gdy ciepła wiosna znów tchnie,
Nie zbudzi ptaszków w grobowym śnie!

RODZINA ARTYSTY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA,

przez M. . a.

Do sklepiku z mąką i kaszą wbiegł dziesięcioletni chłopaczek w czystém ubraniu i rzekł do kobiety sprzedającej:

— Proszę pani dać mi kwartę drobnęj kaszy— a ciszej dodał: — pani dopisze do dawnego rachunku.

— O! moje dziecko, dopisze i dopisze; pocziwi wy jesteście ludzie, ale te wieczne kredyty już mi się przykrzą; na, masz kwartę kaszy, ale powiedz tam mamie, że ja przecież nie bogata jestem i z grosza żyję, to mi każdy grosz drogi.

Tak mówiła mączarka, a chłopczyk słuchał ze spuszczoną głową i rumieńcem na twarzy, zaci-

skając mocno usta i nie poruszając spuszczonej oczu, bo czuł pod powiekami łzy, które za najpierwszém ruszeniem powiek byłyby stoczyły się po twarzy; chłopczyk wstydził się łez, choć jeszcze bardziej się wstydził, słuchając słów mączarki. Zapewne nie był przyzwyczajony do tego. Schwycił podaną mu paczkę, i podziękowawszy, coprędzej zbiegł z nią po schodkach sklepiku, przesunął się pod oknami niewielkiego domu, wbiegł w bramę, i przez podwórze i sień dostał się na wązkie schodki oficyny. Tu po raz pierwszy podniósł oczy na owe schody w ciemnej trochę sieni, i zaraz też dwie duże łzy stoczyły mu się z oczu. Otarł je prędko rękawem i otworzył drzwi na pierwszém pięterku oficyny, z których doszły go ciche tony nieśmiało próbowanych skrzypców. Wszedł do sporego pokoju, położył paczkę na stole, a sam, siadłszy przy oknie, na którym książki i zeszyty leżały, zagłębił się w pracy niedawno zapewne przerwaną.

Pokoj ten smutny i ciemny, bo o jedném tylko oknie i to jeszcze wychodzącem na sąsiedzką ścianę, był zastawiony pod ścianą kilku dziecinnymi łózkami, o bardzo skromnej pościeli, stało w nim także parę stołków. Podłoga była dość czysta, choć niezamieciona; w oknie, ponad głową uczącego się chłopca, zamiast firanek, suszyły się na sznurku dwie świeżo uprane dziecinnie sukienki.

Obok chłopca, przy tém jedyném oknie, siedziały dwie osoby: niestara, ale bardzo wynędzniała kobieta, i tuż przy niej dziewczynka trzynastoletnia; obie szyły dużą sztukę bardzo grubej z szarego płótna bielizny, szyły z takim pośpiechem, że aż plamy czerwone ze zmęczenia obu im wystąpiły na twarzy. W głębi pokoju, na jedném z łóžeczek, trochę młodsza od szyjącej dziewczynka zabawiała dziecko maleńkie. W kącie pod piecem chłopiec jedenastoletni, siedząc na ziemi, majstrował coś koło małych skrzypców, strużąc nożykiem jakieś patyczki, i wydobywając od czasu do czasu przeciągłe tony na próbę z naprawionej skrzypeczki.

Wszystkie te dzieci były ciche i jakby bardzo zajęte; wszystkie spojrzały na przyniesioną przez braciszka paczkę, ale żadne nie ruszyło się z miejsca. Z drugiej izdebki także maleńki, ale widnej, zaglądało do nich trochę słońca; najmłodsze dziecko wyciągało rączki do tego promyka, i naprawiający skrzypce w tym promyku siedział, ale żadne wejść do widnego pokoju nie śmiało.

Tam stały przed oknem sztalugi z dużym obrazem; okno zarzucone było farbami w ołowianych niby flaszeczkach, i prawdziwemi flaszeczkami, pędzlami, paletami i pudełkami różnemi. Ojciec tych dzieci był malarzem. Kilka obrazów wisiało

na ścianie. Gorący dzień lipcowy miał się ku schyłkowi; w dusznym, ciemnym pokoju było cicho, pomimo obecności pięciorga dzieci. Czasami zaledwo przerywało tę ciszę pociągnięcie smyczka po strunach, albo skrzypnięcie pióra u okna, głośniejsze słówko małego dziecka, albo coraz śpieszniejszy szelest grubiej bielizny i przesuwających się w niej nitek. Aż na raz cztery szyjące z takim pośpiechem ręce opadły na kolana szyjących:

— Przecież skończono! raz, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć sztuk; zabierz-że tę bieliznę i odnieś, a proś o pieniądze, moja Aneczko—rzekła matka do najstarszej córki, złożywszy z jej pomocą bieliznę; gdy Aneczka wiązała ją, układając w dużej chustce porządnie, ona tymczasem wyszła z kaszą do kuchenki, a wróciwszy za chwilę z ugotowaną, ponalewała na pięć talerzy rzadką kaszę gorącą, poustawiała na stole te talerze nadtłuczone i powiedziaławszy:

— Pójdźcie posilić się, moje biedne dzieciśka.

Sama zjadła prędko swoje porcyą i wstawszy od stołu, zabrała się żywo do sprzątanania, zmiatania i porządkowania, chociaż było to już po południu. Wszystkie dzieci śpiesznie pobiegły do stołu i jadły chciwie; i nic dziwnego, gdyż to był ich obiad. Małenkiemu tylko dała siostrzyczka trochę mleka świeżego i kawałek bułki.

Zjadłszy śpiesznie, Aneczka poszła odnieść robotę; inne dzieci wróciły do swych zajęć; pokój przybrał daleko porządniejszy pozór pod czynnemi, ale widocznie osłabłemi już rękami matki. Ona sama wzięła do ręki nową robotę, bardzo do poprzedniej podobną, którą na wszystkie strony rozmierzywszy, siadła na dawnym miejscu i pytała piszącego znów przy tym samym oknie chłopczyny:

— Czy mączarka nic nie mówiła, Kaziu?

— Mówiła... — szepnęła; i schylił główkę nad zeszytem niżej jeszcze, ale nie powiedział co ona mówiła, i matka nie pytała więcej, westchnęła tylko i szła dalej. Oczywiście musiała spodziewać się i dobrze wiedzieć, co owa kobieta mówić mogła.

Po chwili dały się słyszeć lekkie kroki na schodach, Aneczka weszła; matka spojrzała na nią i rękę z igłą zatrzymała przez chwilę nieruchomą w powietrzu:

— Ta pani kazała przyjść po pieniądze jutro — szepnęła smutnie Aneczka, wracając daleko wolniejszym krokiem, niż wyszła. Matka opuściła rękę z igłą, westchnęła tylko i szła dalej. Ale po chwili rzekła żywo do najstarszej córki, zabierając się znów do szycia:

— Daj no temu pokój, moje dziecko, ja téj robotcie i sama dam rady, bo takie grube koszule i przy świecy szyć będę mogła; idź ty lepiej do szwalni naprzeciwno i poproś o te chustki do zna-

czenia, po które przyjść mi tam kazano przed wieczorem; możeby się je udało nam we dwie przez jutro wykończyć...

Dziewczynka zawiązała znów na głowie czarny zniszczony kapelusik i prędko pobiegła. Tym razem bawiła jeszcze krócej, niż przy odnoszeniu bielizny i jeszcze wolniej wracała:

— Zrobią sami; jedna panna im przybyła do pomocy — rzekła po cichu, odpowiadając na spojrzenie matki, i zasiadła przy niej do szycia.

— Nie śpiesz się; niema roboty — szepnęła jakby do siebie matka, z takim smutkiem w głosie, jakby mówiła: „niema chleba“! ale sama szła dalej machinalnie. Dwie igły poczęły przesuwąć się znowu, ale już bez tego gorączkowego pośpiechu, z jakim pracowały przed chwilą.

Teraz szybkie i ciężkie kroki ozwały się za drzwiami; do pokoju weszło dwóch mężczyzn. Do pierwszego z nich zwrócili się wszystkie oczy z takim wyrazem, iż odrazu można było zgadnąć, że się zwracają do ojca; drugi był w liberyi. Pan domu głową skinął tylko żonie i dzieciom na powitanie, przeszedł pokój wraz ze służącym, wszedł do swojej jasnej pracowni, chwycił prędko obraz, stojący na sztalugach, okrył go starannie i oddał służącemu, przykazując, jak ma trzymać i nieść, aby go nie uszkodzić. Służący wysłuchał uważnie, zabrał obraz i wyszedł.

Dzieci i matka przez ten czas spoglądały na siebie i na ojca, a zdziwienie i smutek malowały się w ich oczach.

— Jakto! tyś sprzedał ten obraz! ten który, miał iść na Wystawę? — krzyknęła nagle żona, gdy wstawszy ze swego miejsca spostrzegła próżne sztalugi — to temu zdziercy! temu wyzyskiwaczowi, który po to się tylko między ludźmi kręci, żeby biedę podpatrzeć i skorzystać z niej? a ja myślałam, żeś ty który z tamtych dawnych obrazków mu oddał, a i tego żal mi dla niego było, ale tamten!... tamten!... cóżes ty uczynił? ten obraz to sława twoja! onby był imię twoje rozniósł po świecie, a teraz przepadł, a takich obrazów żaden na świecie artysta nie wytrząsa z rękawa! Coś ty zrobił!...

Tak wołała rozżalona kobieta, a czworo dzieci, choć milczały, jednakże pozrywały się z miejsc swoich i przybliżyły do rodziców, a na twarzyczkach ich widać było odbijające się matki wzruszenie. Widocznie były wtajemniczone w sprawę, o którą chodziło, żal im było obrazu i przywiązanych doń nadziei, i sławy ojca!...

— Ale bo widzisz on nie mógł iść na wystawę... bo... nóg nie miał... — rzekł artysta, targając się za czuprynę, niby tłómacząc się pokornie, niby żartując i z pod oka spoglądając z uśmiechem

po swojej rozżalonej rodzinie, czy ów niby żarcik w lepszy humor ję nie wprowadzi.

— Ech, mój drogi, na co to się zdało żarty udawać, kiedy ci się samemu gorzej niż mnie płakać chce! — krzyknęła kobieta.

— Ale ja nie udaję, tylko omyliłem się, moje dziecko, chciałem powiedzieć, że obraz nie mógł iść na wystawę, ponieważ nie miał ram... — rzekł malarz łagodnie i z uśmiechem.

— To niechby stał! trzeba było czekać, ażbyś mógł ramy kupić!

— Czekać? — powtórzył, spoglądając na tę gromadkę napastującą go pod przewodem matki i wiodąc po nich smutnym spojrzeniem, dodał cicho: — Jedliście wy dzisiaj?

— Jedliśmy! — zawołał Kazio i tryumfalnie podniósł do góry resztę chleba ze stołu.

— Jedliśmy! — powtórzyła dziewczynka młodszą, potrząsając resztą kaszy w garnku.

— Przecież znów nie umieramy jeszcze z głodu! — zawtórowała im matka i rozpłakała się, zapewniając głośno, że płacze z gniewu, chociaż naprawdę z żalu płakała.

— A ojciec czy jadł? — krzyknął drugi chłopiec, przystępując nagle do ojca z taką gwałtownością w głosie i postawie, jakby także pytał z gniewu. Dzieci te były bardzo pieśczone. Ojciec psuł je trochę.

— Jadłem! — odkrzyknął ojciec i tupnął nogą i brwi namarszczył, niby ze straszliwą złością, dodając piorunującym głosem: — A tobie co do tego? — ale tamten jakoś się nie zląkł:

— Co ojciec jadł? gdzie ojciec jadł? — pytał tupiąc nogą tak samo, jakby miał prawo pytać.

— U Stępka! żółwiową supę, ostrygi, jarzabki, porter, szampan — recytował ojciec zawsze ze złością.

— A ja mówię, że ojciec nic nie jadł i jest bardzo głodny! — krzyknął syn.

— Psujesz dzieci temi żarcikami, z żartów gotowe naprawdę zapominać, jak się do ojca mówi — powiedziała matka, siedząca przy oknie na krześle, gdzie się rzuciła w napadzie owego płaczu.

— Co? — zahuczał ojciec grmiącym głosem, chwytając zuchwalca pod boki i podniósłszy go w powietrze, trząsł nim przed sobą. — Coś ty powiedział? — trzymał go tak tuż przed własną twarzą, obydwa się trzęśli niby ze złości, obydwo im oczy ciemne roziskrzzone wzajem na siebie błyszczały, jak u rozżłoszczonych kanarków.

— Czy ty wiesz, że ojcowi zaprzeczać nie można, czy nie wiesz, co to ojcowie? — krzyczał jeden.

— Wiem! to artysta i ojciec artysty — wrzeszczał drugi.

— Urwisa! — wybuchnął ostatecznie ojciec artysty, przyciskając do piersi tego artystę, który chwycił go za szyję i ścisnął także ze wszystkich sił, co wyglądało tak, jakby obydwa zjeść się chcieli ze złości, a całowali się serdecznie.

— Graj, Paganini *)! — zakrzyknął znów ojciec, stawiając chłopca na stole, obok leżących na nim skrzypców. Chłopak chwycił je i szalony oberek rozległ się po artystycznym mieszkaniu. Ojciec porwał córkę, Kazio siostrzyczkę, łomot obcasów i huczna śpiewka: „A zwracaj od komina, a uważaj, której niema” zawtórowały muzyce. Matka patrzyła na to przez chwilę od okna, ruszając ramionami, a łyzy błyszczały jej w oczach; ale powoli widok tego głodnego baletu i ochocze tony zaczęły ją uspokajać, bo wesołość zaraźliwa jest tak samo, jak smutek. Uspokoiwszy się, matka wstała, przebiegła między tańczącymi do komórki ciemnej, po drugiej stronie sieni, gdzie była kuchenka, i zajęła się tam przyrządzaniem herbaty w sporym garnku, bo naczynie tak cenne jak samowar już dawno zamieniono tu na coś pożyteczniejszego. Na widok wielkiego imbryka i garnka parującego, co zapowiadało gorący posiłek, tańce ustały. Ojciec wyciągnął z kieszeni paltota bułki i ser, co było wielkim przysmakiem, nakryto stół, cała rodzina zasiadła przy nim i pomimo, że wszyscy byli głodni, posilano się bez pośpiechu, żeby sobie wzajemnie głodu nie okazać.

— Przepraszam cię za taką herbatę — rzekła matka z westchnieniem, podając szklankę ojcu.

— Ech — odrzekł tenże — zdaje ci się, że jest niedobra, boś ty uprzedzona, dla tego, że ją robisz w garnku; a tymczasem w całej Anglii herbata do dziś dnia robi się w kocielku, alias garnku, i kto tylko ją pił przyznaje, że nigdzie nie pił lepszej; i ja jestem tego zdania, najlepsza herbata z garnka. Prawda, dzieci?

— Prawda! — odpowiedziano chórem, chociaż uśmiech pojętny ukazał się na wszystkich twarzach, bo dzieci te karne, a kochane rozsądnie, były zdrowe i rozwinięte umysłowo; umiały siedzieć cicho, jakby ich nie było, gdy ojciec pracował; umiały swawolić do upadłego, gdy na to pozwolił i rozumiały doskonale, że on swoim dobrym humorem, wyrobionym siłą woli, daje przykład im i matce, jak biedę znosić należy, aby jej sobie jeszcze cięższą, niż jest, nie robić.

Najadłszy się, i podziękowawszy, dzieci pozosiły swoje roboty i znów obsiadły stół, na którym teraz stanęła świeca. Dwie starsze dziewczynki

*) Paganini jest to nazwisko wielkiego dawniejszego skrzypka, którym też ojciec malarz przezywał swego syna, chlubiąc się jego talentem.

szyły, Kazio pisał, Paganini-Oleś jeszcze coś ze skrzypkami miał do czynienia, matka sprzątała.

— Trzebaby zaraz jutro popłacić, gdzie się co winno — powiedział do niej ojciec półgłosem i nieśmiało, jakby niebezpieczną kwestyą wszczynając; i położył przed nią spory stos papierowych pieniędzy. Jęj oczy pobiegły do ciemnego teraz pokoiku, do sztalug, i lży znowu w tych oczach stanęły. Nie powiedziała nic, a jednak wszystkie dzieci oczy na rodziców podniosły, a potem spojrzały na drzwi pokoju, z którego znikł obraz; wiedziały one, że musiał być sprzedany za bezcen, aby im dostarczyć koniecznych potrzeb, i wszystkie westchnęły. Żał im było i obrazu, i ojca, bo czuły, ile on nad tą koniecznością cierpieć musiał, choć nie okazywał tego po sobie. Chwilę pracowano w miłozieniu, bo i ojciec rysował coś ołówkiem na kawałku gładkiego drzewa, tylko Kazio, skończywszy swoje pisanie, chodził po izbie w zamyśleniu tam i napowrót szerokimi krokami, ze spuszczoną głową, ręce założywszy po napoleońsku na pierśsiach.

— Nie! to tak dłużej być nie może! z tego trzeba wyjść! — zdecydował stanowczo, stając na środku. Ojciec podniósł głowę tak samo, jak on, ręce założył tak samo, jak on, i zapytał takim samym stanowczym tonem:

— Z czego?

— Z biedy!

Ojciec zmienił postawę, wsparł się o stół łokciem, zatapiając rękę w czuprynie bardzo ciemnej, a już gdzieśniedzie białemi poznaczonę nitkami i mówił z uśmiechem:

— Ej, moje dziecko, bieda jest to jakby choroba, którą człowiek ze sobą na świat przynosi; ciężko z nią, to prawda, ale zawsze bezpiecznie ją cierpliwie znosić, niż się jęj gwałtownymi środkami pozbywać; bo z taką chorobą nieleczoną można żyć sto lat, a przy gwałtownych środkach, źle zastosowanych, można umrzeć odrazu. Dziś każdyby chciał biedy się zbyć i majątek zrobić, i dla tego tém więcej będę swą czuje. Zamiast się z nią szarpać, lepiej ją znosić cierpliwie, wierz mi, moje dziecko.

— Trudno znosić cierpliwię, jak ty znosisz; i cóż zyskujesz? — spytała matka smutno. Ojciec zrobił wielkie oczy:

— Kobieto! nie grzesz! a wiesz ty, coby nie jeden król dał za to!... — zawołał, wskazując na czworo dzieci, które zaprzestawszy swych zajęć, w rozmaitych postaciach stojąc naokoło stołu, wpatrywały się w rodziców błyszczącymi pojętnością i rozumem oczyma.

— A co do obecnego stanu interesów naszych — mówił dalej — który się od czasu do czasu po-

wtarza, to przecież nie powinno cię martwić ani dziwić; jest to przesilenie finansowe, jakie nieuniknionem jest dla najpotężniejszych domów handlowych, z tą jedynie różnicą, że najpotężniejsze domy bankrutują, a my za Boską pomocą nie zbankrutujemy, byleśmy tylko w przesileniach naszych zachowali dobry humor; bo dobry humor, to zdrowie, a zdrowie, to podstawowy kapitał takich domów, jak nasz. Lipiec i Sierpień minie, lekcyę wróć, portretów trzeba się stanowczo wyrzec, bo je zrabowali fotografowie, ale są przecież restauracye starych obrazów, a choćby i szyldy; ja nie myślę odrzucać nic, aby dalej, bo ja mam tylko dwa cele: wychować dzieci, żeby sobie same rady dały, i przepędzać każdą upływającą chwilę wesoło, ponieważ następna nie nasza. Paganini mój! zagrajno Grobową arya, nim flota przypłylnie i będzim mogli pójść na teatr.

Paganini-Oleś, zawsze gotów, chwycił swoje skrzypkę a ojciec zapowiedziawszy, że chce każdą chwilę przepędzić wesoło, począł śpiewać arya Grobową. Głos był dźwięczny, smyczek dobywał tony czyste, więc zasłuchano się naprawdę, a najbardziej matka, wpatrzona w syna i ojca. Chwila milczenia panowała jeszcze, gdy ostatnie tony uleciały już pod niebo otwartem oknem.

— Ja tam nie pragnę zrobić majątku... — rzekł najmłodszy Kazio, zawsze poważny, zawsze w napoleońskiej postawie, która mu była zwyczajną, gdy rąk nie miał zajętych książką, piórem lub piłką.

— Ani ja — rzekł Paganini — ale dobre skrzypce, tobym chciał mieć.

— A jabym chciał mieć dużo książek; resztę głupstwo; wszystko głupstwo — mówił Kazio filozoficznie i ręką machnąwszy, znów ją za drugą na piersiach założył.

— I jabym majątku nie chciała, bo z tém kłopot, i chętnie gotowam pracować całe życie tak, jak mama, od rana do nocy, ale, chciałabym, żeby przesilenie nie bywało — powiedziała najstarsza Aneczka.

— Otóż to to! — zawołano chórem.

— No, proszę ojca, i czyliż byłoby niebezpiecznie chcieć się pozbyć tej choroby przesilenia? — pytał maleńki myśliciel w napoleońskiej postawie.

— Napoleonie, Heglu *), Lelewelu! jeżelibyś tylko tyle żądał, toby nie było niebezpieczeństwa; ale jak się od przesilenia obronić? w tém trudność; wymyśl, jeżeli umiesz — rzekł ojciec i posadził Hegla na swych kolanach.

— A jabym jeszcze chciała mieć dla nas wszystkich domeczek, choć taki maleńki, jak ten

*) Hegel był to uczony filozof niemiecki.

pokój. Na dole mieszkaliby rodzice, a na górze na strychu my, bo tam nie tak wygodnie, a na około domku byłby ogródeczek — szepnęła druga dziewczynka.

— Oho! w ogródeczku byłaby woda, na wodzie wyspa, na wyspie pałac, koło pałacu stajnie z rumakami, tarasy, wodotryski, cieplarnie; słyszysz, Kaziu, czego się Kasi chce? otóż to tak bywa, gdy się puszcza wodze pragnieniom ludzkim. Nie, moje dzieci, pozostanmy przy naszej biedzie, a pragniemy i prosimy Boga nadal o to tylko, co dotąd mamy, o zdrowie i dobry humor. W tym grunt, bo ludzie zdrowi i weseli są zgodni i kochają się wzajem. A ja też nic więcej dla siebie i dla was nie pragnę. Nie bardzo stary jestem, ale przeżyłem już dużo, wierzcież temu, co wam mówię, i bierzcie przykład ze mnie. Bieda nam, to prawda, ale zdrowi jesteśmy, żadne z was nie ma nóg powykrzywianych, ani żadnej nieuleczonej choroby; chce wam się jeść czasami bardzo nawet, ale to chwała Bogu, bo to znaczy właśnie, żeście zdrowi. Żyjmyż tak sobie dalej; żadne z głodu nie umarło i nie umrze, bo ja zdrow, i mogę wodę nosić i drzewo rąbać, gdyby tego było trzeba. Jak ja z wiekiem osłabnę, to wy właśnie dorośnięcie, i będziecie silni, i będziecie to samo robić dla mnie, co ja dla was, byle ochoczo. A jak już będziecie dorosłymi, dużymi ludźmi, wtedy dopiero przyznacie, bo wtedy dopiero zrozumiecie, że ja miał słusność: zdrowie i jego podstawa dobry humor, oto grunt, a reszta głupstwo, jak mówi Kazio, i nic więcej.

(D. c. n.).

BAŚNI.

P. Z. Mórąską.

(Dokończenie)

— A jak ona wyglądała? — spytał król.

— Tak a tak — opowiadał Pływaczek.

I król poznał z jego opowiadania, że to była ta sama wróżka, która, przed dwudziestu laty obiecała jego córkę synowi węglarza. Myślał, myślał długo, nareszcie rzekł:

— Co się stało, już się nie odstanie. Ale tak przecież bez zasługi zięciem moim być nie możesz. Idź więc w dalekie kraje i przynieś mi trzy złote włosy Dziada Wszystkowiedza.

Myślał, że tym sposobem pozbędzie się niemiłego zięcia.

Pływaczek rozłączył się ze swą małżonką i szedł sam, nie wiedząc, w którą się udać stronę. Ale spotkał znów wróżkę, która, że mu była kumotną, wyprowadziła go na dobrą drogę. Szedł on dłu-

go i daleko, przez góry i doliny, wody i bagna, aż nareszcie przyszedł nad morze Czarne. Tam ujrzał łódź, a na niej przewoźnika.

— Boże dopomóż, przewoźniku!

— Daj Panie Boże, młodzieńcze, a gdzie to wędrujesz?

— Do Dziada Wszystkowiedza po trzy złote włosy.

— Oho! na takiego posła dawno już czekam. Dwadzieścia lat już przewożę, a nikt mnie nie przyszedł wyswobodzić. Przrzeknij mi, że jak zmożesz Dziada Wszystkowiedza, to mnie wyswobodzisz, a przewiożę cię. — Chłopiec mu przrzekł, i przewoźnik go przewiózł.

Potem Pływaczek przyszedł do jednego wielkiego miasta, ale było ono ponure i smutne. Na przedmieściu spotkał staruszkę, który ledwie szedł, podpierając się kijem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, staruszkę.

— Na wieki, piękny młodzieńcze; a kędyż to droga?

— Do Dziada Wszystkowiedza po jego trzy złote włosy.

— Oj, oj, dawnoż ja już na takiego czekam. Ale muszę ja zaraz donieść o tym naszemu panu.

Gdy przyszli, król rzekł:

— Słyszeliśmy, że idziesz na pokonanie Dziada Wszystkowiedza. Posłuchaj więc: W moim państwie była taka jabłoń, że gdy kto z niej zjadł jabłko, to chociażby stał nad grobem, ozdrowiał; ale teraz, od lat dwudziestu, jabłoń wcale nie ma owocu. Jeżeli mi przrzeczesz, że się zapytasz Dziada Wszystkowiedza, czy jest na to jakie lekarstwo, obdarzę cię po królewsku.

Pływaczek przrzekł, a król pozwolił mu odejść.

Potem przyszedł do innego wielkiego miasta; było ono do połowy zburzone. Pod miastem syn grzebał zmarłego ojca, a łzy mu jak grad płynęły po twarzy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, smutny grabarzu! — rzekł Pływaczek,

— Na wieki, dobry podróżniku! a gdzież to idziecie?

— Idę do Dziada Wszystkowiedza po trzy złote włosy.

— Ach! czemużes dawniej nie przyszedł? — przecieżto nasz król oddawna już czeka na takiego posła, musisz pójść do króla.

Gdy tam przyszli, król rzekł:

— Doniesiono mi, że jesteś posłany do Dziada Wszystkowiedza. Posłuchaj więc. Miałem w swym państwie studnię, z której, gdy się kto napił wody, to choćby już umierał, zaraz ozdrowiał; a gdy kto umarł, a tą wodą go pokropili, to zaraz ożył. Ale

teraz od dwudziestu lat studnia wyschła i wody wcale w niej niema. Jeżeli mi przyrzekniesz, że się Dziada Wszystkowiedza zapytasz o jakąś pomoc, to cię po królewsku obdarzę.

Pływaczek przyrzekł, a król go łaskawie wypuścił.

Potem szedł długo a daleko czarnym lasem, na skraju lasu ujrzał wielką zieloną łąkę, pokrytą najpiękniejszym kwieciami, w pośród którego stał złoty zamek; był to zamek Dziada Wszystkowiedza. Pływaczek wszedł do zamku, ale nie zastał tam nikogo. Nareszcie w oddalonym kąciku ujrzał staruszkę, która siedziała i przędła.

— Jak się masz, Pływaczku, — rzekła; — cieś się, że cię ujrzałam.

A była to ta sama jego kumotra, która go przenocowała w lesie, gdy niósł list królewski.

— A cóż cię tu przywiodło?

— Król nie chce, żebym darmo został jego zięciem, i posłał mnie po trzy złote włosy Dziada Wszystkowiedza.

Staruszka się uśmiechnęła i rzekła:

— Dziad Wszystkowiedz jest moim synem. Jest on jasnym słoneczkiem z rana, dojrzałym mężem w południe, a starcem wieczorem. Dam ci więc trzy złote włosy z jego głowy, abym niedarmo ci była kumotą. Ale tak, jak jesteś, zostać nie możesz! Mój syn jest w rzeczy dobra dusza ale gdy przyjdzie głodny wieczorem do domu, łatwo cię mógł upiec i zjeść na wieczerzę. Stoi tutaj dzieża, schowaj się więc pod nią.

Pływaczek uczynił, jak kazała niewiasta, lecz prosił, aby się zapytała Dziada Wszystkowiedza o te trzy rzeczy, na które przyrzekł przynieść odpowiedź.

— Zapytam się — rzekła staruszka, — a ty dobrze uważaj, co rzeknę.

Naraz zerwał się wiatr, a zachodniem oknem do izby przyleciało słońce, stary dziadulek ze złotą głową.

— Czuję tu, czuję człowieka! — rzekł — matko, czy tu niema nikogo?

— Gwiazdo dzienna, a któżby tu mógł być, o kimbyś ty nie wiedział? Ale to tak, cały dzień latasz po tym bożym świecie, to się tam człowieczego mięsa nawachasz, nie dziwota więc, że ci potem wszystko pachnie człowiekiem.

Staruszek nic na to nie odrzekł i poszedł do wieczerzy.

Po wieczerzy położył swą złotą głowę na kolanach matki i zaczął drzemać. Gdy staruszka ujrzała, że już zasnął, wyrwała mu jeden włos i rzuciła na ziemię; a włos zadzwonił jak struna.

— Czego chcecie, matko? — rzekło słońce,

— Nic, synku, nic! Zdrzemnęłam się trochę, a miałam dziwny sen.

— I cóż wam się śniło... matko?

— Śniło mi się, że w jednem mieście była studnia z wodą uzdrawiającą, choćby kto konał, a napił ję się, to ozdrowiał; a jak kto umarł, a pokropił go tą wodą, to ożył. Ale teraz już od lat dwudziestu nie mogą tę wody zaczerpnąć ze studni. Czy jest jaki sposób, aby wodę znów można wydostać?

— Łatwo temu zaradzić, — rzekł Wszystkowiedz. — W studni, na zrębie, siedzi żaba, i nie pozwala wody zaczerpnąć; zabić żabę, studnię wyčyszczyć, a woda jak dawniej pocieże.

Gdy słońce usnęło, matka wyrwała mu drugi złoty włos i znów rzuciła na ziemię.

— Co to się stało, matko.

— Nic, synku, nic; zdrzemnęłam się trochę, i przyśniło mi się coś bardzo dziwnego. Śniło mi się, że w jednem mieście była jabłoń, która takie rodziła owoce, że jak kto zjadł jedno jabłko, to zaraz odmłodził. Ale teraz od dwudziestu lat jabłoni ani jednego owocu nie wydała. Czy można temu cośkolwiek zaradzić?

— Bardzo łatwo; pod jabłonią wyrósł szkodliwy robak; trzeba jabłoni wykopać, robaka zabić, jabłoni przesadzić, a wydawać będzie owoce, jak przedtem.

I znów słońce usnęło, a matka wyrwała mu trzeci włos i rzuciła na ziemię.

— Czemu mi, matko, spać nie dajecie? — rzekło słońce mruczając i chciało wstawać.

— Leż jeszcze, synku, leż; przykro mi, że cię zbudziła, ale zdrzemnęłam się znów, i miałam dziwny sen. Śniło mi się, że nad Czarnem morzem był przewoźnik, który już od dwudziestu lat musiał ciągle ludzi przewozić, a nikt go nie chciał wyswobodzić. Kiedyż on ukończy swą pracę?

— Głupiej to matki syn! niech da komu innemu wiosło do ręki, a sam na łód wyskoczy, to ten będzie przewoźnikiem, a on się wyswobodzi. Ale teraz dajcie mi już, matko, pokój, bo muszę wstać bardzo rano i pójść osuszyć łyż królewskiej córce, która po całych nocach płacze za swym mężem, synem węglarza, którego król wysłał po trzy moje włosy.

Nad ranem zerwał się wiatr, a na kolanach starej matki, zamiast staruszka rozbudziło się złotowłose dziecko, jasne słoneczko. Pozdrowiło ono matkę i wschodniem uleciało oknem. Niewiasta zaś odsunęła dzieżę i wypuściła Pływaczka.

— Masz oto trzy złote włosy. A co Dziad Wszystkowiedz powiedział, to już sam słyszałeś. Idź sobie teraz z Bogiem, już mnie więcej nie ujrysz, bom ci już niepotrzebna.

Pływaczek pięknie wróźnie podziękował i poszedł.

Gdy przyszedł do tego pierwszego miasta, pytał go król.

— Jaką mi przyniosłeś nowinę?

— Dobrą, — rzekł Pływaczek. — Każcie, Miłościwy Panie, studnią wyczyścić, a żabę, co siedzi na zrębie, zabić, to będziecie mieli wodę, jak pierwój.

Król zaraz rozkazał tak uczynić, a gdy ujrzał, że woda wytrysła obficie strumieniem, dał Pływaczekowi dwanaście koni białych, jak łabędzie, i włożył na nie tyle złota, srebra i drogich kamieni, ile tylko unieść konie mogły.

Gdy przyszedł do tego drugiego miasta, pytał go znów król:

Jaką mi przyniosłeś nowinę?

— Dobrą — rzekł Pływaczek — Każcie, Najjaśniejszy panie, jabłoń wykopać, robaka, co jest pod nią, zabić, a drzewo gdzieindziej przesadzić, to znów będzie, jak pierwój, wydawać owoce.

Król zaraz rozkazał tak uczynić, a jabłoń przez noc całą była osypana kwiatem. Król wielce się uradował, i darował Pływaczekowi dwanaście koni karych, jak kruki; a kazał na nie włożyć tyle bogactwa, ile tylko udźwignąć zdołały.

Potem Pływaczek poszedł, a gdy był nad Czarném morzem, pytał go przewoźnik, kiedy nareszcie będzie wyswobodzony?

— Dowiesz się, — rzekł Pływaczek, — ale pierwój mnie przewieziesz, to ci powiem.

Przewoźnik zasmucił się, ale widząc, że wszelkie wypytywanie na nic się nie zda, przewiózł go wraz z dwudziestu czterema końmi. Poczem Pływaczek rzekł:

— Jak będziesz teraz kogo przewoził, daj mu wiośło do ręki, a sam wyskocz na brzeg, to tamten zostanie przewoźnikiem, a ty sobie będziesz używać świata.

I Pływaczek, pożegnawszy przewoźnika, poszedł w swoje droge.

Gdy powrócił do królewskiego zamku i oddał królowi trzy złote włosy Dziada Wszystkowiedza, król własnym oczom nie chciał wierzyć. Córka zaś królewska płakała z radości, że jej ukochany małżonek powrócił.

— Zkądżeś wziął tyle pięknych koni i tyle bogactwa? — pytał król zięcia.

— Wysłużyłem je sobie, bo dopomogłem jednemu królowi do odzyskania jabłoni, której jabłka odmładzały ludzi, a drugiemu do przywrócenia w studni wody życia, która uzdrawiała chorych, i wskrzeszała umarłych.

— Odmładzająca jabłoni! woda życia! — Zawołał król ze zdziwieniem. Gdybym zjadł takie

jabłko, zarazbym odmłodził; a gdybym nawet umarł, toby mnie ta woda do życia wróciła.

I nie mówiąc nic nikomu, wybrał się natychmiast po owe odmładzające jabłka i wodę życia. Ale jak poszedł, tak dotąd nie wrócił. A syn węglarza objął po nim królestwo tak, jak mu wróżka przepowiedziała.

Król zaś dotąd przewozi na Czarném morzu, bo on był pierwszym, który się przewoźnikowi nawinał, ten mu oddał wiośło, a sam na łód wyskoczył.

Myśl ukryta w tej baśni jest nader łatwą do odgadnienia. Odwiecznej walce dobrego ze złem, złych i dobrych skłonności, fantazyja ludu nadała żywe postaci, to jest: syna węglarza i króla.

Takim synem węglarza jest każdy, pokonywający wszelkie przeciwności losu, a dążący drogą prawdy i cnoty do raz zamierzonego celu. Jak nad jego kolebką stanęły trzy wróżki, tak nad kolebką każdego staje Opatrzność, dając mu rozum, uczucie i wolę. One mają go umocnić do walki z losem i złem, jakie spotyka na drodze życia. Do walki o zdobycie wiedzy, upostaciowanej w jasnym słończku, którego trzy złote promienie, trzy złote włosy Dziada Wszystkowiedza (Wszechwidzącego) powinny być celem każdego, bo one przedstawiają piękno, dobro i prawdę, mające być myślą przewodnią, tak pojedynczego człowieka jak i całego społeczeństwa.

Takim *doskonałym człowiekiem* jest właśnie Pływaczek, który pracuje, nie tylko dla siebie, lecz i dla innych; zdobywszy trzy złote włosy Dziada Wszystkowiedza, wraca, aby pocieszyć człowieka grzebiącego swego ojca, to jest *przeszłość*, która dla tego tylko zamarła, a miasto rozsypuje się w gruzy, że niezgoda zaparła w niem życie, jako żaba skrzeczająca na zrębie życiodawczej studni. Zabić żabę, jest to zabić owe rozterki i niesnaski.

Gdzieindziej zniknęło życie, bo tak, jak robak podgryzł korzenie wonużej jabłoni, tak chciwość i osobiste widoki zniszczyły wszelki ład i spokój. Z zabiciem robaka, to jest pokonaniem nurtujących żywiołów, powróci ład, zajaśnieje życie w całej pełni i blasku, a z niem i prawdziwe piękno.

Trzeci włos nareszcie Dziada Wszystkowiedza daje moc rozumu, skierowaną ku dobremu. Uwalnia więc przewoźnika, który jest uosobieniem człowieka, odprawiającego pokutę, przykutego do ciężkiej pracy, której nigdy nie mógł dokonać. Nareszcie pokuta się kończy, oswobodzony wyskakuje na łód, a smutny los przewoźnika słusznie otrzymuje król, to jest uosobienie złego, które prędzej czy później pokonanem być musi. Dobro zaś, uosobione w maluczkim synu węglarza, poślubi-

wszy prawdziwą królową, to jest *cnotę*, obejmuje panowanie nad światem.

W całej więc tej baśni, od początku do końca, przeprowadzona jest walka dobrego ze złem, którą fantazja ludu przyoblekła w szaty i skłonności ludzi. Szukając w tej baśni prawdy, łatwo ją znajdziemy, jeżeli wniknąwszy w siebie spostrzeżemy, jak złe i dobre chęci w nas samych codziennie bezprzestanną staczają walkę.

od Lublina, leżą w pięknej miejscowości nad Bystrycą, której wyniosły brzeg prawy dziwnie malowniczo się przedstawia; wijąc się z jednej strony wśród łąk i pól uprawnych, z drugiej jasne, przezroczyste jej nurty obrzeżone są bukietami drzew, wśród których wznoszą się malownicze zwaliska. Tak na przykład w sąsiedniej wsi Bystrzycy widzimy na wyniosłej górze, nad wodą, szczątki dobrze zachowane pięknego pałacu z wieżycą.



Wzór do rysunku.

ZE WSPOMNIENIŃ DZIECIĘCYCH WŁODZIA T...

(Dalszy ciąg.)

W tym roku właśnie pojechaliśmy z Maciuśiem razem „na trawkę“ na całe lato do Strzyżewic, pięknej posiadłości, należącej wtedy do państwa Skolimowskich. Strzyżewice, odległe o trzy mile

Po drugiej stronie Strzyżewa leży wieś Kielczewice, także nad Bystrycą, z parafialnym kościołem na wysokiej górze, w tak pięknym górskim położeniu, iż miłe to ustronie polską Szwajcaryą zwanem być może. Kielczewice należały wtedy do p. Daniszewskiego, który kiedyś budował tamy na Wiśle, chcąc uchronić Pragę od wylewów. Przy

tém ciągle był zajęty urządzaniem statków jakiegś nowej konstrukcyi, co mu się jednak niezbyt udawało; statki zawsze ruszyć się z miejsca nie chciały. Mieliśmy raz być świadkami takiej uroczystej próby. Mały statek ozdobiono różnokolorowemi papierowemi flagami. Na obu brzegach Bystrzycy porozwieszano latarnie, następnego dnia miała się odbyć próba statku, który był arcydziełem w swoim rodzaju. Pan D. ze wzruszeniem oczekiwał dnia następnego, a w tém błogiem oczekiwaniu zaskoczyła go śmierć nagła.. Próba spełzła na niczem, nie wiem, co się ze statkiem owym stało. Byliśmy natomiast na wspaniałym pogrzebie...

Dwór w Strzyżewicach stał na górze nad Bystrzycą, okalał go duży dziedziniec, po rogach gęste zarośla drzew, wdzięcznie ugrupowane, były siedliskiem całej gromady słowików; pośrodku klomb ogromny, gdzie na zieloném tle różnobarwne kwiaty jaśniały, ganek wirnem opleciony, róż przelicznych sztamowych wielka ilość, dom obszerny, jasny, ciepły i gościnnością polską owiany. Poza dziedzińcem, przez drogę, rozciągał się ogród i park z wspaniałą, cienistą aleją świerkową.

Z domu szczególnie, z balkoniku na piętrze, widok był prawdziwie rozkoszny, malowniczy a swojski... chaty słomianemi strzechami okryte widniały po drugiej stronie z pośród drzew cieniu, na Bystrzycy u dołu młynek leniwie obracał swe koła, za to nieopodal duży tartak z hałasem wykonywał swą czynność; ulica wysadzona drzewami prowadziła od dworu ku grobli i karczemce, dalej na górę, gdzie od krzyża równa droga wiodła do wioski Bystrzycy, która była celem naszych przechadzek.

Ej, latoż to było, cudne lato! Gdy się w południe wyleciało pomiędzy łany nieściętej jeszcze pszenicy złotej i falującego żyta, ileż to głosów przemawiało wtedy do rozbudzonej dziecięcej wyobraźni!... Powietrze przesycone ciepłem i wonią dojrzewającego zboża, nabrzmiałe życiem, w uroczystej swój ciszy przemawiało do duszy głosów tysiącem... brzęk niewidzialnych muszek, jednostajna muzyka polnych koników, i pienia skowronka i różne szmery tajemnicze, tak mnie pieściły i do snu kołysały, iż nieraz długą przeleżałem godzinę, zapomniawszy o niebieskich chabrach, różowych kąkolach i barwnych motyli gromadzie... Robiliśmy również wycieczki do blisko leżącego lasu, na jagody, poziomki, grzyby, a potem na orzechy. Tam się oddycha inaczej, a przyroda odmiennym przemawia do nas głosem!...

Śliczne to było ustronie, cudna miejscowość, te Strzyżewice. Gospodarstwo mili, serdeczni, gościnni, gromadzili naokoło siebie liczne grono przyjaciół, uprzyjemniające im czas wedle możności. Pan

grał pięknie na fortepianie, a nadewszystko tak był zamilowany w muzyce, iż nieraz, w zapomnieniu jakimś artystycznym całętnią noc wygrywał przy otwartém oknie nokturny, ballady, mazury Szopena, Mickiewiczowskie sonety i Widma, układu Moniuszki i inne piękne utwory.

Tak zeszło nam lato w tém uroczém ustroniu. Zwróciła także naszą uwagę o parę wiorst odległa wieś Piotrowice, również położona nad Bystrzycą, ze zwaliskami zamku, gdzie mieszkał Kejetan Koźmian, i gdzie napisał swoje cenne „Pamiętniki“; 3 tomy tego dzieła oglądałem u nieboszczyka biskupa Baranowskiego, wielkiego miłośnika literatury ojczystej, którego obszerny księgozbiór przeszedł w posiadanie hr. Zamojskiego z Kozłówki. W Piotrowicach tych często przebywał autor „Dworca Dziadunia“ (Leszno 1851 r.) Franciszek Morawski, wielki przyjaciel Koźmiana. Tęsknił on do Piotrowic, odzywając się o nich w ten sposób:

Gdybym tak często biegł do twój ustroni,
Jak się sercu przypomina,
Niestaloby wozów, koni,
Od Piotrowic do Lublina.

(D. c. n.).

MAŁY HRABIA,

przez Goida,

przekład z angielskiego.

(Dalezy ciąg).

Poza polem ukazywał się las ciemny, szumiący, którego widok pociągał małego hrabiego, tęskniącego za własnymi borami, gdzie taki był chłód przyjemny. Było już około południa, słońce dopiekało, pragnienie i zmęczenie mu dokuczało, i smutek go ogarnął. Miło mu było, że poratował te biedne zgłodniałe dzieci, ale ich obojętność przykrość mu sprawiła.

— Ale nie po to się dobrze czyni, żeby wdzięczność pozyskać w nagrodę — powiedział sobie — słuszną to kara, bo pragnąłem, żeby mi dziękowano.

Mały hrabia miał ten dobry zwyczaj, że sobie zawsze winę przypisywał, gdy mu się co nie miłego przytrafiło. Szczęściem dla niego, grunt był miękki, więc dość łatwo przeszedł przez pastwisko, ścieżka była trawą zarośnięta, co ją czyniło mniej przykrą dla czerwonych pończoszek.

Był jednak niespokojny, niepewny; bez trzewików, nie czuł się zdolnym do walki ze światem, i zdawało mu się nawet, że był śmiesznym trochę. W téj chwili Ś-ty Marcin nie wydawał mu się tak wielkim, wszak on płaszczył tylko swój oddał. Nie miał też szarfy na sobie i widać było pasek od maj-

teczek, więc obawiał się, czy ubiór jego nie był czasem nieprzyzwoitym.

Jednak szedł naprzód odważnie, chociaż trochę kulawo. Wiercie mi, nigdy świat nie wydaje się lepszym, jak wtenczas, gdy sobie powiemy, że i my także nie jesteśmy doskonali.

Z wielkim trudem doszedł do lasku, gdzie hodowano bażanty. Nie było tam starodrzewu, ale po większej części krzaczyste głogi i drzewa dereńowe, a gdzieniegdzie ostrokrzewy i brzozy; las był gęsto zarosły i promienie słońca zdawały się igrać wśród cieniu. W dali morskie fale migały w świetle słonecznym a ziemia gęsto była okryta paprocią, mchem, trawką. Zmęczony chłopczyzna z zakrwawionemi nóżkami upadł bezsilny pod drzewem; pszczoła go przez pończoszkę ukłuła, i ukąszenie to paliło go i bolało. Ale o ileż więcej cierpieł Chrystus i Święci! — pomyślał Bertus pobożnie, bez najbliższego odcienia zarozumiałości.

Jednak, gdy odpoczął trochę pod drzewem, na miękkim kobiercu z mchu i trawy, uczuł się orzeźwionym i wzmocnionym, chociaż miejsce, gdzie go żądło pszczoły ukłuło, piekło go zawsze.

Tyle ślicznych reczy przesuwało się przed jego oczyma! Wspaniałe bażanty, którym do Października żadne niebezpieczeństwo nie groziło, bez obawy przechadzały się, wlokąc po trawie okazałe ogony, jakby dworskie płaszcze. Kosy, najweselsze ze wszystkich ptaszków, tuż obok niego wygrzebywały ziarnka i robaczki. Zięby szukały pod uszlęmi gałązkami włókien na drugie letnie gniazdka. Zbierały skrzętnie drobne włoski z sierści różnych zwierząt, krów koni, psów, wszystko im się przyda do tej roboty, a gdy trafią na kawałeczek zajęczęj skórki, lub futerko królika, bogactwo to dla nich niesłychane. Dwie makolągwy, siedzące pod niskim krzakiem, były zajęte wydobywaniem mrówczych jajek z mrówiska, a szczygieł przeleciał, trzymając w dziobku cały kłak wełny owczej. Wiele innych ładnych i zajmujących stworzeń widział tam nasz mały hrabia. Kret śpieszył się schronić do swego podziemnego mieszkania, dzięcioł kuł zawzięcie w spróchniały pień, szary, dziwny jakiś ptak, zaczepiał nieżywą polną myszkę na kolcu głogu. Bertus nie wiedział, że to był srokosz, z rodzaju jastrzębi, drapieżny ptak, dawniej czasem do polowania używany, bo chłopczyk nic nie wiedział o zwyczajach ptasiego rodu, i teraz leżąc spokojnie ukryty wśród wysokich paproci, spoglądał na to wszystko w niemym zachwycie i radości niezmierniej. Takie śliczne stworzeniaapełniały także własne jego lasy, ale on tam nigdy sam nie chodził. Ojciec Filip towarzyszył mu na przechadzkach, a Wiliam nie od-

stępował go na krok, gdy jechał konno, nigdy się nie mógł zatrzymać ani na chwilę, i nie wolno mu było spocząć na trawie, a donośny głos nauczyciela płoszył nieśmiałyłch mieszkańców lasu, równie jak tętent kopyt kuca lub szczekanie Ralfa.

— Gdy dorosnę, całe dni będę spędzał na dworze, zaznajomię się z temi ładnymi stworzeniami i dowiem się od nich, co porabiają — myślał sobie. Tak był zachwycony tym nowym światem, ukrytym w zaroślach bażantarni, że zapomniał o braku trzewików i nie pomyślał, gdzie będzie spał tej nocy. Zapomniał o własnym istnieniu, bo tak zwykle bywa, gdy się nauczyni kochać te skrzydlate i czworonożne istoty, które przyroda tak blisko nas postawiła, a o których mało co wiemy, lub co gorsza, nad którymi znęcamy się nieraz. Bertus nie pamiętał o tém, że uciekł był z domu w celu wykrycia, kto go w niewoli trzymał, i stoczenia walki ze swoim ciemiężcą. Daleko goręcej teraz pragnął dowiedzieć się, co to był za ptak szary, i dla czego myszki polne zawieszał na kolcach. Jeżeli jesteście równie nieświadomi jak on, mogę wam powiedzieć, że srokosz jest w tém podobny do człowieka, który, upolowawszy zwierzyne, składa ją w spiżarni, aby skruszała.

Srokosz odleciał, szukając innych myszy, żab lub owadów, bo jest on bardzo pożyteczny wśród lasów, chociaż gajowi bywają tak niemądry, że starają się go wytepić. Mieszkanie jego z piskletami było zawieszone wysoko na drzewie, a on nokoło gniazda pozatykał zdobycz swą na kolcach drzew i krzaków; ptak to przezorny, i miał przekonanie, że trzeba pracować dopóki dnia starczy.

Gdy srokosz odleciał, goniąc za wielkim bakiem, mały hrabia, znużony długim chodzeniem i upałem, usnął wśród światego ptaszków, napawając się wonią majową i spał długo i spokojnie. Szczygieł tak śliczną piosnkę zanucił, że ją nawet przez sen słyszał, ale szczygieł nie śpiewał wcale dla niego, ale dla swojej samiczki, która spokojnie siedziała w swoim gniazdku wraz z piskletami, czuwając, aby łasica lub inne drapieżne zwierzę nie zakradło się do jej mieszkania.

Kiedy Bertus się przebudził, słońce nie jaśniało już tym samym blaskiem, długie cienie rysowały się w bażantarni, i wielka kula ognista zanurzała się w nurty morza na zachodzie. Było zapewne blisko szóstej godziny wieczorem, ale Bertus zupełnie o tém nie wiedział, bo on miał zwykle zegarek przy sobie i nie umiał godzin poznawać za pomocą polnych kwiatków, ani obliczać czasu podług długości cieniu. Teraz nawet, chociaż noc się zbliżała, nie zatroszczył się o to, gdzie znajdzie łóżko. A wtém spostrzegł chłopczyka

o czarnych włosach i śniadłej twarzy, który wyglądał bardzo ubogo i przypatrywał mu się ciekawie.

— Jestem pewny, że jest tak biedny, jak Dik i Tom — pomyślał Bertuś — a ja już nic nie mam do darowania.

Chłopczyk usiłował ukryć dużego bażanta, okrytego pięknymi lecz potarganymi piórami, a w drugiej ręce trzymał splątane kawałki drutu i sznurka z długą pętlą.

Bertuś poznał, co to było, bo widział, jak gajowi jego podobne rzeczy niszczyli w lasach, słyszał, jak czyniąc to klęli. Rozbudziły się w nim instynkta właściciela, chociaż nie był w tej chwili na własnym gruncie.

— O, chłopczyku! — zawołał, przecierając oczy i powstając szybko — jaki jesteś niepocziwy, niedobry! złapałeś w sidła bażanta.

Chłopczyk, który był w tym samym wieku co on, spuścił głowę skruszony i przestraszony. Poznał w przeciwniku dziecko możnej rodziny.

— Proszę panicza mnie nie wydać — mówił popłakując — daruję ci tego ptaka, jeżeli mnie nie oskarżysz.

— Nie potrzebuję ptaka — odpowiedział Bertuś z powagą — i źle robisz, że mi go ofiarujesz. Zabiłeś tego bażanta, który do ciebie nie należał, jesteś złodziejem.

Proszę panicza — ciągnął dalej zabeczany winowajca, — ojciec zawsze tak łapał.

— To i on także był złodziejem — rzekł Bertuś.

— Był dobrym dla mnie, — powiedział chłopczyzna, który już zupełnie się rozplakał — Był dobry, i umarł rok temu, a teraz matka chora i Zuzia ma zapalenie gardła, i niema nic do jedzenia w domu, a kiedyś słyszał, że Zuzia ciągle płacze i płacze, poszedłem tam, gdzie ojciec chował swoje przybory, i pomyślałem: a może i ja potrafię co złapać w bażantarni, bo to dobry rosół z tych ptaków, i nie brak nam ich było, kiedy ojciec i Towser żyli.

— Kto to jest Towser?

— Nasz pies; gajowy go zastrzelił, a tak ładnie umiał przynosić ptaki w pysku. Jak mnie panicz teraz wyda, to mnie wezmą do więzienia tak samo, jak ojca, i obją, a matka tylko mnie ma jednego.

— Nie wiem, kto tu jest właścicielem, więc nie mógłbym cię wydać, — powiedział Bertuś ze zwykłą powagą, — i nie chciałbym tego zrobić, gdybym nawet mógł; ale to bardzo brzydko łapać cudze ptaki, to jest kradzież.

— Wiem, że tak ludzie powiadają, — tłumaczył mały tępicieł zwierzyny, ale ojciec mówił...

— To nie tylko ludzie powiadają, to czysta pra-

wdą, — rzekł Bertuś surowo; — ptaki nie należą do ciebie, więc jeżeli je zabierasz, jesteś złodziejem.

Chłopak nic nie odpowiedział, i drapał się w czoło znięszany. Nie rozumiał on dobrze słuszności prawa o polowaniu, i Bertuś sam nie miał wyobrażenia o ważności przedmiotu, który poruszył, ale był zgorzsony, widząc, że chłopiec miał tak niejasne pojęcia o własności, i spoglądał w niebo, jakby słońce chciał wezwać na świadectwo słów swoich. Słońce tymczasem spokojnie usuwało się na widnokręgu poza drzewami, poza zielonymi wybrzeżami i szaremi falami, a mały winowajca stał przed nim jakby odurzony jego obecnością, i przygnębiony jego słowami.

— Czy wiesz, do kogo należy ten las? — zapytał Bertuś, a chłopiec odpowiedział niechętnie:

— Do sir Henryka.

— Więc powinieneś w tej chwili pójść z tym ptakiem do sir Henryka — rzekł Bertuś — i prosić go o przebaczenie. Oto co powinieneś zrobić.

Chłopak otworzył usta i oczy ze zdziwienia.

— Nigdy tego nie zrobię, — powiedział stanowczo, — przytrzymałby mnie u bramy, nimbym słowo przemówił.

— Ale jeżeli ja pójdę z tobą? — powiedział Bertuś.

— Czy jesteś pan jego krewnym?

— Nie — odrzekł Bertuś, i zamilkł zmięszany, bo pomyślał, że widząc go bez trzewików, i jego przytrzymanoby może także.

— Ej, nie darmo ty boso chodzisz, mój paniczu, — powiedział chłopiec, przybierając wyraz pogardliwy — Nie wiem co jesteś za jeden, ale zdaje mi się, że nie masz prawa mnie łajać. Niewiadomo co tu sam porabiasz.

Bertuś się zarumienił.

— Ja nic złego nie robię, — powiedział z godnością — a ty kradniesz. Jeżeli jesteś pocziwym chłopakiem, odniesiesz zaraz tego bażanta właścicielowi, przeprosisz go, i on z pewnością da ci robotę.

— Nie znajdzie się tam robota dla syna mego ojca, — powiedział chłopczyzna smutnie, — wszyscy gajowi sprzeciwiliby się temu. Chcą, żebyśmy zgłodu zginęli, matka, Zuzia i ja.

— Cóż ty umiesz robić.

— Umiem urządzać potrzaski na ptaki — powiedział z dumą mały winowajca, wskazując na sidła. Zwykle o zmierzchu dopiero wychodzę, ale Zuzia była taka słaba całe rano, bo nie miała co jeść.

— Żal mi ciebie i Zuzi, — powiedział ze współczuciem Bertuś, ale nic nie może usprawiedliwić kradzieży, i nigdy Bóg...

— Gajowi! — krzyknął chłopak piskliwym głosem i z chyżością zmykającego zajęcia rzucił się w krzaki, pozostawiając u nóg małego hrabiego bażanta i potrzask. Bertus był tak zdziwiony, że stanął milczący i nieporuszony, a chłopak zniknął w mgnieniu oka w gęstwinie. Dwóch ludzi uzbrojonych w strzelby i prowadzących psy za sobą wypadło z gęstwiny, i jeden z nich pochwylił gwałtownie małego hrabiego za kołnierz.

— Ty hultaju mały! pożałujesz tego! — wrzasnął człowiek olbrzymiego wzrostu. — Dostaniesz w skórę, i przesiedzisz o chlebie i wodzie dobry miesiąc.

Bertus był tak zdziwiony, że w pierwszej chwili nie mógł przemówić, potem ze zwykłą sobie łagodną powagą powiedział po prostu:

— Mylicie się; nie zabiłem tego ptaka.

Gdyby Bertus był porządnie i wytwornie ubrany, lub gdyby gajowy nie był tak rozzłoszczony, byłby łatwo spostrzegł, że chwytal i oskarżał dziecko bogatego domu, a nie żadnego włóczęgę. Ale kto w gniew wpada, traci zwykłą roztropność i przytomność umysłu, i Gruby Jerzy, jak go zwykle zwano, nie zważał na to, iż psy przychylnie obwąchiwały więźnia, i widział tylko, że ma do czynienia z bladym, mizernym chłopczyką, bez trzewików, obdartym, zakurczonym, i przy którym leżał potrzask i nieżywy bażant.

Bertus ani się spostrzegł, gdy człowiek ten wydobyl kawałeczek sznurka z kieszeni, i ręce mu związał z tyłu, potrzask i bażanta zabrał i kazał chłopczykowi iść za sobą. Przez ten czas prawdziwy winowajca miał czas uciec daleko i bezpiecznie się ukrył w opuszczonej norze starego lisa, zabitego jeszcze w Lutym, którato kryjówka była mu dobrze znana.

Bertus milczał ciągle i myślał sobie:

— Jeżeli im powiem, że to inny chłopczyk to zrobił, będą go szukać, złapią go, zaprowadzą do więzienia, a matka jego i Zuzia będą takie nieszcześliwe, takie biedne! Zdaż mi się, że powinienem cicho siedzieć; Pan Jezus ani słowa nie wyrzekł, kiedy go bito i policzkowano.

— Dostaniesz nareszcie za swoje, mały hultaju, — rzekł gajowy, ściągając sznurek, jak gdyby już nieraz miał małego hrabiego w swoich rękach.

— Bardzo jesteś niedobry, — powiedział Bertus, którego twarz okryła się rumieńcem gniewu, ale Gruby Jerzy nie zważał na niego, bo w tej chwili zaklął gniewnie na psa, który będąc młodym i niedoświadczonym, chciał się puścić w pogon za królikami.

— Wiem, co to za chłopak, — powiedział potem do towarzysza — jest to wykapany obraz tego łotra Radleya z Blackgang.

Bertus ani się domyślał, kto to był ów Radley, do którego tak miał być podobnym,

— Podobny trochę, to prawda, — odpowiedział tamten.

— Sir Henryk jest dziś na obiedzie w sąsiedztwie i jużbyśmy go nie zastali w domu — ciągnął dalej Jerzy. — Wezmę więc do siebie, i zamknę do jutra rana tego Radleya. Co to za zuchwałstwo! brać się do bażantów, jakdyby nie miał królików! Jemu trzeba bażanta!

I kułakiem uderzył małego więźnia.

Bertus w śmiertelną był obawie, nie o siebie, ale o tamtego chłopca, żeby go w bażantarni nie spotkano.

— No, naprzód! — krzyknął ze złością Gruby Jerzy, — a jeżeli zechcesz uciekać, roztrzaskam ci głowę i przybiję cię do drzwi kurnika, jak zdechłą sowę!

Mały hrabia spojrzał na niego z wyrzutem i pogardą.

— Jesteś zły i gwałtowny — powiedział — nadużywasz swęj siły, a to jest okrutnie i nikczemnie.

— Umiesz się wygadać, ty przebrzydły Radleyu — powiedział gniewnie gajowy, — ale inaczej będziesz śpiewał, skoro poczujesz różgę, i zamkną cię w kozie.

Bertus zacisnął zęby, żeby się powstrzymać od odpowiedzi i szedł w milczeniu.

— Ukradłeś ubranie jakiegoś panicza, tak, jak mego bażanta, — powiedział Gruby Jerzy, przypatrując mu się; — czemuż i trzewików także nie wziąłeś?

Bertus ciągle milczał.

— Nic nie odpowiem temu niedobremu człowiekowi, — mówił do siebie, bo gotów jeszcze odkryć, że to nie ja ptaki chwytalem.

Słońce już zaszło, srebrzysta światłość oświecała tylko morze i jego wybrzeża, cienie nocy spływały na ziemię.

Bertus był bardzo blady, serce gwałtownie mu biło, i głód mu dokuczał, ale chociaż z trudnością, szedł bez wahania, bo duma nie dozwalała mu okazać się słabym w obec tego dzikiego człowieka, który w jego wyobraźni przybierał postać Sinobrodego, Ryszarda trzeciego, Nerona, i wszystkich okrutników, o których kiedykolwiek czytał, i który wydawał mu się coraz większym i grubszy, w miarę jak noc pokrywała niebo i ziemię.

Szczęściem dla jego bosych nóżek, droga szła ścieżkami okrytymi trawą i mchem, ale tak wolno postępował, że gajowy nieraz zaklął ze złości, a Bertus czuł coś podobnego do rezygnacji męczennika.

Nareszcie ujrzeni chałupkę gajowego, z wystaw

ką i słomianym dachem, w oknie błyszczało światło.

Na odgłos ciężkich kroków Grubego Jerzego, wybiegła kobieta i kilkoro dzieci.

— Na Boga, Jerzy! — zawołała, — kogo to przyprowadziłeś?

— Jednego z chłopców Radleya, — mruknął Jerzy, — mam nareszcie choć jednego z tych niegodziwych chłopaków, i złapałem go z bażantem w rękę.

— Czy być może? — zawołała żona, a dzieci zaczęły krzyczeć i skakać z radości.

— Co z nim zrobisz ojciec? — zapytał najstarszy.

— Zamknę go na noc w kurniku, — powiedział Gruby Jerzy, — a jutro raniutko zaprowadzę go do Sir Henryka. Umykajcie, dzieci, niech go zamknę.

Bertus spojrzał prosto w oczy Jerzemu.

— To nie ja zabiłem tego ptaka, — powiedział głosem słabym, ale stanowczym. — Omyliłeś się, ja jestem Lord Avilien.

— Milcz, łotrze, bo cię zduszę, — wrzasnął Gruby Jerzy, rozniewany tem, co nazywał bezczelnością tych Radleyów, i nie ociągając się dłużej, wziął za kołnierz małego hrabiego i wrzucił go do kurnika, którego drzwi starsza córka ze skwapliwością otworzyła.

Mieszkańcy kurnika, spłoszeni wśród pierwszego snu, zerwali się w przestachu. Kury i kurczęta, trzepocąc skrzydłami, gdały przeraźliwie, a kogut zaczął pisać, jakgdyby to już było rano.

— Nie tak dobrze ci będzie jutrzejszej nocy, — rzekł Gruby Jerzy, rzucając go na wiązkę słomy, która tam leżała, i wyszedłszy, trzasnął drzwiami, zamknął je i zarygłował.

Bertus upadł na słomę, zanosząc się od płaczu. Nóżki miał pokaleczone, pokrwawione, całe ciało go bolało, i z głodu i zmęczenia o mało nie zemdlął.

— Jeżeli to tak ciężko żyć na świecie — pomyślał — to jakże mogą wytrzymać ci ludzie, co żyją do stu lat!

Ośmioletniemu chłopczynie myśl o długim życiu tak okropną się wydała, że gorzko nad nią zapłakał. Ciemno było zupełnie w kurniku, trzepotanie i poruszanie się drobiu naokoło niego miało coś tajemniczego, silny, nieprzyjemny zaduch odurzał Bertusia, a ból w nogach coraz nieznowniejszym się stawał. Nie krzyczał, nie rzucał się, był odważny i dumny, ale zdawało mu się, że nie przeżyje tej długiej, samotnej nocy.

Uptęno z pół godziny, gdy łagodny głos kobiecy odezwał się u małego okienka.

— Masz wody i chleba, biedny chłopcze, — powiedziała żona gajowego, — oto także trochę mleka i sera, ale nie trzeba, żeby mój mąż o tem wiedział.

Bertus powstał z trudnością i wziął, co mu podawano przez okienko, duża czerwona ręka, przy świetle świecy, trzymanej za oknem, podała mu przyniesione przedmioty, a na koniec garnuszek z mlekiem.

— Bardzo pani dziękuję, — powiedział słabym głosem Bertus, — ale nie zabiłem tego ptaka, i doprawdy nazywam się Lord Avilien.

Pocziwa kobieta poszła do swego małżonka, i powiedziała nieśmiało:

— Jerzy, czy jesteś zupełnie pewny, że to jest chłopak od Radleyów? Wygląda na panicza, i mówi, że nim jest.

Gruby Jerzy począł jęć wymyślać.

— Bosonogi panicz! — powiedział z przekąsem, — nedorzeczna kobieto, nie widzisz, że to jeden z tych przebrzydłych Radleyów, który może sto razy włóczył się po naszych lasach, chociaż nigdy nie mogłem go złapać na uczynku.

(D. n.).

SZARADA (Rózia D.).

Pierwsze drugie: w snach się jawią,
Smucą, bawią, lub ciekawią,
Zdrowie, skarby, sławę dają,
Upiękniają, młodość lata,
Drogich sercu przedstawiają,
Zeszyłych dawno z tego świata;
I niosą nas w inne światy,
Przemieniają w ptaki, w kwiaty —

Lub na przemian w jednej chwili
Żywych czynią umarłymi,
Stawia groby, krzyż mogili,
Dają torbę, kij pielgrzymi —

Trzecim, każdy naród prawie
Zaczyna swe alfabety,
Polski również w tej postawie,
Wszystko: imię jest kobiety.

Zamigłówka głoskowa (Adaś Z.).

a b a k a y a y a r a
t z e z e z e z o m c
t o m o m i d i s
c n j n j n t
t é t

Z tych liter rozspanych ułożyć znane przysłowie.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

Łamigłówki liczbowej:

Karpiński
Pika
Rak
Karp
Kir
Kra
Pińsk
Ikra
Kair
Park
Kark

Szarady:

I — da — li — ja.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Ninie Sz. w Trybuchach. Wszystkie żądane N-ra Pisma oddawna były wysłane, czyżby na poczcie zaginęły? Prosimy o doniesienie, a jeśli dotychczas nie doszły, wyślemy drugie. Ucieszyliśmy się bardzo wiadomością, że Bohdus jest tak niedaleko od Warszawy, nie tracimy też nadziei, że kiedyś do naszej redakcyi zawita. Przy zajęciach szkolnych mało ma pewnie czasu na czytanie, ale spodziewamy się, że spędzając w domu Świąta i wakacje, zajrzy do Pisma, które tak lubi, i do nas napisze, a tymczasem siostrzyczka powinna go zastąpić w tej korespondencji, tak miłej dla nas. Liczymy więc na to, że liściki z Trybuchów częściej nadchodzić będą, bośmy się już za nimi stęsknili.

Idalci D. w Skierniewicach. Liścik ładnie i porządnie napisany, ale rozwiązanie nie jest trafne, jak się to wkrótce okaże.

Tadziowi Kr. w Warszawie. Wydrukowalibyśmy chętnie zagadkę, ale kochany korespondent w pośpiechu zapewne zapomniał dodać do niej rozwiązanie, a my nie mamy czasu na wyszukanie go. Cieszymy się, że powiastka *Mały Hrabia* podobała się czytelnikom i że Pismo nasze niecierpliwie jest wyglądanę. Rozwiązania zagadki historycznej nie otrzymaliśmy wcale, ale pora nie jest jeszcze spóźniona, zostawiamy zawsze na to czytelnikom kilka tygodni czasu.

Tadziowi F. w Rososzu. Łamigłówka jest zupełnie stosowna i wkrótce ją wydrukujemy. Liścik tak ładnie i starannie napisany, że na największą pochwałę zasługuje. Pannu Profesorowi proszę powiedzieć, że żądane objaśnienia podamy w liście przez pocztę przesyłanym.

Emilci St. w Opocznie. Liścik odebrany, prosimy o cierpliwość.

Zosi i Jadwini Kr. w Łęcznie. Otrzymałyśmy przesyłkę, a chociaż dziś jeszcze stanowczo nic orzec nie możemy, winszujemy jednakże zawczasu, bo widać w tej pracy naszych kochanych czytelniczek wielką staranność.

Melci B. w Łychowie. Odebraliśmy aż dwa liściki, oba ślicznie i kaligraficznie napisane. Nadesłane łamigłówki są dobre i chętnie je wydrukujemy, rozwiązanie naszej za-

gadki trafne. Wszystkie szczegóły zamieszczone w liściku zajęły nas niezmiernie i cieszymy się pozyskaniem nowej korespondentki, która bardzo uiesiennie nie miała dotąd odwagi do nas napisać. Radziłyśmy jaknajczęściej miewać wiadomości od tak gorliwej czytelniczki, ciekawi jesteśmy, które opowiadania w Pismku naszym najwięcej się podobają.

Trzem siostrzyczkom z Welezina. Pierwszą próbą łamigłówek wybornie się udała; wszystkie trzy są dobre i będą drukowane. Takie miłe liściki zawsze są pożądane i najserdeczniej prosimy, aby nadchodziły często. Przepraszamy bardzo, że tym razem odpowiedź się troszkę opóźniła, ale więcej się to nie wydarzy.

Wicusiowi Zą. w Podgojcach. Z Pismek francuzkich możemy polecić *Magasin d'Education et de recreation* i chętnie je zaprenumerujemy. Kosztuje rocznie 10 rs. Można także pieniądze posłać wprost do księgarni p. Orgelbranda na Nowym Świecie naprzeciw Kopernika lub do pp. Gebethnera i Wolfa róg Czystej i Kr. Przedmieścia.

Zdzisiowi R. w Warszawie. Rozwiązania trafne i tak starannie napisane, odczytaliśmy z wielką przyjemnością; w następnym liściku prosimy kochanego korespondenta o wiadomość, które powiastki i opowiadania w Pismku naszym z największym zajęciem są czytane.

Zosi W. w Suchej. Nie żałujemy wcale czasu na odczytywanie liścików kochanych naszych korespondentów, i odpisywanie, gdyż jest to najmielsza rozrywka dla nas i odpoczynek po trudach rozlicznych, ponoszonych dla ich pożytku i przyjemności. Chętnie też staramy się zyszczyć czytelników naszych dogodzić, sądzymy jednak, że treść naszego Pisma jest dość obfita i urozmaicona, aby wszystkim dogodzić mogła. Gdybyśmy chcieli w każdym N-rze zamieścić wszystkie dzieła, i podróż, i powieść historyczną, i krótsze historyczne opowiadanie, i komedyjkę i pogadankę naukową i tyle innych rzeczy, zabrakłoby nam na to miejsca, chociaż zadrukowujemy co tydzień taki duży arkusz. Musimy więc radzić sobie, jak można, aby nie opuścić i prosimy kochanych czytelników o wyrozumiałość. Rozwiązania łamigłówek są trafne.

Józefowi K. Otrzymałyśmy łamigłóvkę z rozwiązaniem i wkrótce ją zużytkujemy, ale chyba w dodatku dla dzieci, bo jest za łatwa dla starszych.

Tosiuni C. w Warszawie. Niezmiernie nas ucieszył liścik zapalonych czytelniczek naszego Pisma. Dogadając jej upodobaniom, rozpoczniemy niezadługo dłuższą powieść historyczną p. Maryi Świdorskiej pod tyt: *Braniec tatarski*. Powieść ta zawiera mnóstwo przygód i szczegółów zajmujących, zaczerpniętych z historyi, z czasów napadów tatarskich. Wyglądamy niecierpliwie zapowiedzianego liściku od młodszych siostrzyczek. Rozwiązanie dość trudnej łamigłówki jest dobre. Układanie zagadek nie przedstawia wielkich trudności i spodziewamy się, że kochana korespondentka wkrótce zostanie współpracowniczką naszą w tym dziele.

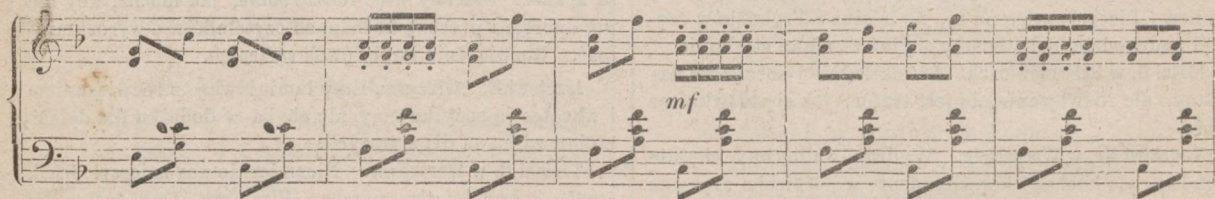
P. Majorowi Mack... w Symbirsku. Kuchnia dyetetyczna wysłana przez księgarnię p. Orgelbranda. N-r Wieczorów z zatraconym dodatkiem wysłaliśmy także, gdyż dodatków osobno nie odstępujemy. Z nadesłanych 3 rs. wydano na książkę 75 przesyłka 10 kop. N-r Wieczorów 10 kop. resztę według życzenia przesyłaliśmy dla dzieci Miarki.

Pani Józefie B. w Kamieńcu Podolskim. Przesyłka opóźniła się z winy księgarni, która ją miała wyprawić na pocztę. Przepraszamy najmocniej. Zapewne już doszła.

Polusi, swojej uczennicy

przez Sz. Lewandowskiego.

POLKA.



WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.

DZIKI AMERYKANIN.

Rycina nasza przedstawia dzikiego człowieka, zamieszkałego w Ameryce środkowej. Ubranie jego, bardzo proste, składa się z kawałka tkaniny bawełnianej, zeszytej nakształt worka. W rękę trzyma on łuk, którym zabija ptactwo i inną zwierzynę, strzela też z niego czasem i do ludzi, jeżeli ich uważa za swoich nieprzyjaciół. Tacy dzicy ludzie nie uprawiają roli, nie zasiewają zboża, i żyją tylko z polowania i rybołówstwa. Dla tego też nie mieszkają na jednym miejscu, nie budują wiosek, ale ciągle wędrują, szukając takich okolic, gdzie jest większa obfitość zwierzyny i ryb. Smutne to życie, ale oni nie znają innego i zadowolnieni są ze swojej nędzy, bo do wszystkiego można przywyknąć.

WRÓBELEK.

(Z francuzkiego.)

I.

Zimno bardzo na dworze, wiatr marcowy dmucha, dwa wróbelki siedzą na dachu z nastroszonymi piórkami. Biedne ptaszyny drżą całe, łapki mają zdrętwiałe, spoglądają na siebie żałośnie, jakby chciały powiedzieć:

— Bieda! bieda! kiedy my się tej wiosny doczekamy?

I zaglądają do okien, czy nie rzuci tam kto ziarenek, albo okruszynek chleba.

Oho! widać za szybą główkę małej dziewczynki; okno się otwiera i słyszą miły głosik, wołający:

— Tu, tu, tu, ptaszyny!

Wróbelki zaświegotały wesoło, oczki ich radością zabłyśły, zatrzepotały skrzydełkami i pofrunęły do okienka. Bogu dzięki mają

śniadanie. Parę innych wróbelków z sąsiedztwa pośpieszyło także na tę ucztę, grzeczna dziewczynka rzuciła dużo okruszynek z okna i wszystkie się pożywiły.

— Pi, pi, pi, pi — zaświegotały wróbelki, odlatując — dziękujemy grzecznej panience, że o nas pamiętała, ślicznie dziękujemy.

Dwa wróbelki, co to najpierwsze spostrzegły dziewczynkę w oknie, powróciły na dach, a potem schroniły się w swoim gniazdeczku, bo zimny wiatr bardzo im dokuczał.

Gniazdeczko to było urządzone pod strzechą, wygodnie i zacisznie; ptaszęta zziębnięte



przytuliły się jedno do drugiego, ażeby się rozgrzać choć troszeczkę.

Wicher wieje coraz gwałtowniej, podnosi kłęby kurzawy w powietrze, porywa dym z komina i unosi go w szalonym wirze, ludzie, którzy przechodzą ulicę, otulają się stanniem w ciepłe okrycia.

— Cóż to za straszna zawierucha — mówi wróbelek samiec, wystawiając ostrożnie główkę ze swojej kryjówki i spoglądając na świat Boży — cały dom się trzęsie, jak gdyby się miał zawalić.

W tej chwili kawał komina obrywa się z łoskotem, spada na brzeg strzechy i strąca z niej parę snopów, tych właśnie, które przykrywały gniazdeczko. Wróbelki z wielkiego przestachu zamykają oczęta i siedzą cichuteńko, nie śmieją się poruszyć; po chwili samiec odważniejszy spogląda w górę i widzi nad sobą szare, ołowiane niebo. Niema już dachu nad gniazdeczkiem, wichura go zerwała! Wróbelek otrząsa skrzydełka, prostuje łapki, dziękuje Bogu, że nie zginął w tej strasznej klęsce.

— Ruszno się, kochanko — mówi do swojej żoneczki — nie mamy tu już dachu nad głową, trzeba lecieć w świat. Czy nic ci się nie stało?

— Nie, nie, zdrowa jestem i cała — odpowiada wróbelczka, wysuwając się z kącika i przeciągając skrzydełka.

— A więc ruszajmy dalej — mówi wróbelek — jest tu niedaleko kącik wyborny, gdzie nam będzie bardzo wygodnie. Leć za mną.

I pofrunęli oboje w sąsiednią ulicę, a wróbelek zatrzymał się przy okienku niewielkiego, ładnego domku.

— Czy widzisz — rzekł do swojej samiczki — jakie tu jest ładne gniazdeczko; to jaskółki je pobudowały; pomieścimy się w niem doskonale.

— Co też tobie w głowie — odrzecz wróbelczka — a cóż na to jaskółeczki powiedzą, jak powrócą z zamorskiej swojej podróży? Pewnie się na nas bardzo pogniewają.

— Ej, co tam, nim one powrócą, my sobie inne gniazdeczko zbudujemy — odpowiada wróbelek — ale teraz takie okropne zimno, że mi się nie chce brać do roboty, cały jestem skostniały. Chodź, chodź, żoneczko, ogrzejemy się i odpoczniemy.

I mówiąc to, wskoczył do gniazdką, a samiczka poskoczyła za nim.

— Co też to znaczy — rzekła — że tu takie pustki w tym gniazdeczku? jaskółki przecież zwykle urządają sobie miękką pościółkę. Musisz, kochanie, pofrunąć jeszcze do naszego dawnego mieszkania i przynieść tu wszystkie ździebka słomy i sianka, któreśmy tam sobie nagromadzili; będzie nam cieplej i wygodniej. A nie zapomnij zabrać tego strzępka wełnianego, co tam leży w kąciku, na prawo, i tych kłaczek z kocięj sierści, cotośmy je na poddaszu znaleźli.

Wróbelek odleciał przedziutko, a wróbelczka zaczęła porządkować w nowym swoim mieszkaniu.

— Te jaskółeczki są naprawdę bardzo dowcipne — mówiła sama do siebie — jak to one zręcznie to gniazdko ulepiły z ziemi i przytwardziły je tak mocno do ściany. Mybyśmy naszym grubym dziobkiem nie potrafiły nigdy tego dokazać. Nie rozumiem jednak poco to sobie tyle trudu zadawać? Niby to pisklęta nie chowają się równie pięknie i zdrowo z zwyczajnem gniazdku, w szczelinie ściany? Ale co tam mój mężulek tak długo porabia? A, przecież leci już nieboraczek i niesie coś w dziobku. Kawałeczek papieru! to szkoda było zachodu, na nic mi się to nie przyda.

— Przepraszam ciebie, duszko, żem tak długo się zabawiał — rzekł wróbelek, wskazując do gniazdką — ale zarazem ci opowiem, co mi się wydarzyło. Pofrunąłem tą stroną, gdzie jest gniazdko naszej siostrzyczki i przełatując tuż obok usłyszałem jak się sprzeczała ze swoim mężulkiem.

— Masz się czém tak pysznić — mówiła do niego — czyż to znów takie bardzo ładne te twoje piórka, do starego zerdzewiałego żelazta podobne. Żebyś jeszcze nie miał tych czarnych prążków na grzbiecie, tobyś był daleko brzydszy odemnie.

— A tobie się zdaje, że już niema nic ładniejszego od ciebie, dla tego, że masz takie same czarne prążki jak i ja — odrzekł szwagierek zaperzony. — Ale za to twoje piórka jaśniejsze są od moich, a więc brzydsze. Co to wiele gadać; każdy wie, że wróbelki samcy daleko są piękniejsi od samiczek. Nudzisz mnie już nakoniec tą swoją śmieszna próżnością. Czy masz czarny gardziołek? odpowiadaj.

— No, nie mam.

— A masz biały paseczek na skrzydełkach?

— Nie mam.

— A widzisz. Nie przechwalajże się swojemi wdziękami.

Siostrzyczka nic już nie powiedziała, ale się nadąsała okropnie, wyskoczyła z gniazdka, a gdy ujrzała mię siedzącego na dachu, zaczęła przedemną skargi rozkładać. Perswadowałem jęj, jak mogłem, i nakoniec przekonałem ją, że szwagierek miał słuszość. My doprawdy ładniejsi jesteśmy od was, moje panie. Muszę jednak przyznać, że i wy macie jedną śliczną ozdobę, żółtą łatkę na czółku. Ale zresztą musicie nam ustąpić pierwszeństwa.

Odprowadziłem siostrunię do gniazdka i pogodziłem ich jakoś z szwagierkiem. Pofrunęłem potem do dawnego naszego mieszkania, ale niestety! nie zastałem już tam sianka, ani wełny, wichura wszystko zabrała. Znalazłem tylko ten kawałek papieru, ale to się na nic podobno nie przyda. Musimy jednak dziś na tém poprzestać, bo strasznie jestem zmęczony. Jutro postaram się o lepszą pościółkę, a teraz prześpię się trochę.

I mówiąc to, wróbelek przytulił się w kątku, wróbliczka poszła za jego przykładem i oboje wkrótce usnęli.

Zawierucha uspokoiła się nazajutrz i dni następnych znośniejsza już była pora. Wróbelki jako tako przebyły Marzec; codziennie fruwały do okienka, gdzie dobra dziewczynka sypała jedzenie dla ptasząt, w cieplejsze dni skakały sobie na dachu i nawet dalej odlatywały, dla rozprostowania skrzydełek.

Często świegotały wesoło, zbierały się w liczniejsze gromadki z innymi wróbelkami z sąsiedztwa, rozmawiały, zapewne o tém, że już niezadługo zimna przeminą, nadejdzie wiosna i ciepło, a ptaszętom lepiej będzie na świecie.

D. c. n.

Doświadczony niedźwiedź.

Niedźwiedź tłusty, jak zwykle na jesieni bywa, Skrył się na dni czterdzieści, śpiąc i liżąc łapy; Gdy się zbudził, był chudy, zgięty w trzy [ogniwa, Dyszał ciężko i smutno obwisłemi chrapy, I tak rzekł, na zdziwionych przyjaciół pytania: Wierzcie mi, nie utyje to nikt z próżnowania.

Niežnośna panienka poprawiona.

Ludka była dosyć grzeczną dziewczynką, a jednak służące nie kochały jęj. Mama to widziała i smuciła się tém, bo radaby była, żeby córeczkę wszyscy kochali. Ale nie mogła Mama odgadnąć przyczyny, bo Ludka grzeczną była dla służących. Aż raz przyszła służąca Julisia i podziękowała Mamie za służbę. Zdziwiła się Mama i spytała dla czego? A Julisia odpowiedziała, że „przez panienkę“.

Ludka, która to słyszała, zawstydzila się okropnie, Mama, zawstydzona także za Ludkę, spytała Julisi, co to ma znaczyć? I dopiero opowiedziała Julisia, że przy Ludce żadna służąca nie wytrzyma, a to dla tego, że panienka, chociaż grzeczna niby, przecież jest niežnośna, bo co chwilka wybiega do kuchni, i zawsze coś zbroi, chociaż nie umyślnie. To zajrzy w garnuszek i śmietankę przechyliwszy wyleje, to z masła zdejmie pokrywkę, a kot zaraz to zobaczy i masło zje; to znowu panienka podsunie się pod rękę, gdy służąca niesie garnek z ukropem, a wtedy aż strach ogarnia służącą, bo nic łatwiejszego, jak oparzyć Ludkę na śmierć.

To znów z dobrego serca, ale najniepotrzebniej, polała raz panienka kwiatek śliczny w doniczkę na oknie, ale się omyliła i zamiast wodą czystą nalała go taką, w której było dużo octu mocnego i kwiatek usechł. To znowu raz wlała panienka na stół, żeby zawsze w najlepszej chęci, obetrzeć z kurzu obrazek za szkłem nad łóżkiem Julisi — i nie tylko szkło stłukła ale i sama spadła ze stołka i potłukła się także, i jeszcze pani połajała za to Julisię.

Więc dla takich i wielu innych podobnych przyczyn mówiła Julisia, że z Ludką jest nie do wytrzymania, choć panienka na pozór zdaje się grzeczna i robi to wszystko w dobrych chęciach.

Ludka aż płakała ze wstydu, słysząc, jak Julisia się uskarżała, a Mama rzekła, że to wszystko jest z nieposłuszeństwa, bo Mama zakazywała Ludce biegać do kuchni, ale dziewczynka zawsze tam zaglądała. Teraz przecież zawstydzona Ludka przyrzekła uroczyście, że więcej nie będzie nieposłuszną i dotrzymała słowa. A Julisia, przekonawszy

się, że Ludka przestała być nieznośną, została u Mamy i do dzisiaj kocha panienkę Ludkę serdecznie.

Podróż Adasia i Zosi do gorących

krajów.

(*Dalszy ciąg.*)

Przybyli nareszcie do gaju cynamonowego. Ojciec pokazał Mamie i dzieciom osobliwe drzewa, z których otrzymuje się cynamon i powiedział, że nigdzie w całych Indyach nie rośnie taka obfitość tych drzew, jak na Cejlonie. Ztąd rozwożą cynamon na cały świat. Zosia dziwiła się jednak bardzo, że nie czuć było zapachu cynamonu w tym gaju. Drzewa te miały ładne liście ciemnozielone, grube i skórkowate, jak u kamelii, ale niktby się nie domyślił, gdzie tam w nich jest pachnący cynamon. Ojciec odłamał małą gałązkę z jednego drzewa, zdjął z niej wierzchnią korę i podspodem dopiero pokazała się jakby druga kora czerwona; to był cynamon i gdy dzieci potarły go w rękę, uczuły bardzo mocny zapach.

Tatko i Mama przechadzali się wraz z dziećmi po tym pięknym gaju, a tragarze tymczasem ustawili palankiny na ziemi i odpoczywali. Ojciec pokazał dzieciom także wspaniałe drzewo chlebowe, rosnące obok cynamonowych. Z pomiędzy wielkich liści zielonych wyglądały owoce okrągłe, ogromne, jak ludzka głowa, brązowe i naprawdę podobne do pękających bochenków chleba. Dzieci miały ochotę i tego pokosztować, ale Ojciec powiedział, że owoce chlebowe nie jedzą się surowe, tylko pieczone, tak samo, jak chleb prawdziwy, zerwali więc jeden duży owoc i włożyli do palankinu, ażeby go w domu upiec na wieczerzę. Tymczasem Ojciec urwał trochę fig świeżych i innych jakichś owoców bardzo słodkich i soczystych, a dzieci zjadły je z wielkim smakiem.

Wypocząwszy dobrze w gaju cynamonowym, wsiedli znów wszyscy do palankinów, ale tym razem Ojciec wziął do siebie Adasia, a Mama Zosię. Tatko kazał tragarzom powracać inną drogą, aby dzieci nowe jakie ciekawe rzeczy obaczyły. I niedługo czekały; jak tylko palankiny weszły w głąb lasu, zdała pomiędzy drzewami ukazała się ogromne zwierzę, ociężałe stępujące na gru-

bych, jak kłody, nogach, a Adaś i Zosia oboje razem krzyknęli:

— Słoń! prawdziwy słoń!

Dzieci nieraz widziały słonia na obrazku, nic dziwnego, że go od razu poznały.

— Ach, Tatku, cóż to za ogrom, co za ogrom! — wołał Adaś, roztwierając oczy.

— Mamuniu, jakież on duży, jaki duży! — powtarzała znów Zosia.

A słoń tymczasem szedł sobie pomalutku, raz chwycił trąbą wielką gałąź drzewa, bo mu pewnie zawadzała, i zgruchotał ją w jednej chwili, jakgdyby to było ździebełko słomy.

— A to siłacz dopiero! — wykrzyknął Adaś, a Zosia nic nie mówiła, bo jej się troszkę aż straszno zrobiło, więc przytuliła się do Mateczki i w milczeniu wpatrywała się w ogromnego słonia.

Gdy zwierzę znikł w oddaleniu, Ojciec opowiedział dzieciom, że dzikie słonie całemi stadami żyją po lasach na Cejlonie i na stałym lądzie w Indyach. Mieszkańcy urządzają na nie oblawy, a gdy złapią, oblaskawiają i używają do różnych posług. Czasem nawet jeżdżą na nich i Ojciec obiecał, że kiedyś koniecznie, przewiezie dzieci na słoniu. (C. d. n.)

Łamigłówka zgłoskowa. (K. R.)

Z następujących zgłosek: bu—cho—do—do—e—gór—i—jąc—ki—le—ma—na—ne—no—nicz—nów—o—po—re—ro—rę—ty—wo—zor—za— ułożyć 8 wyrazów: 1. Ozdoba wojskowa. 2. Monarcha starożytny, 3. Cesarz rzymski. 4. Miejsce kąpielowe. 5. Zwierzę. 6. Ryśownik francuzki. 7. Owoc. 8. Miejsce urodzenia Kraszewskiego. Końcowe i początkowe litery, od dołu do góry odczytane, utworzą tytuł pisma peryodycznego.

Rozwiązania do Nr. 9-go.

Szarady:

KAR-PA-TY.

Łamigłówki w kwadraciku:

K O R A

O G A R

R A W A

A R A K